

go — w relacjach Fiszera — były prze-
ważnie szelmowsko piękne.

Innego znów wieczoru przenosiliśmy się
do Niemiec, gdzie Fiszera spędził studenckie
lata. Opisywał wdzięki nieskomplikowanych
dziewcząt, semestralnych kochanek. Najlep-
sze piwo na świecie. Korporanci. Komersy.

Fiszera, w miarę jak się zapalał i pocią-
gał ze szklanki, wpadał w ferwor, improwi-
zował. Wymową swoją potrafił upoić słu-
chacza.

Czasem Fiszera przynosił książkę i prosił
abym głośno przeczytał jakiś ustęp, który
specjalnie lubił. Kiedyś nawrócił, już ze
schodów, stanął w drzwiach i podniósłszy
rękę do góry, zagrzmiął:

„Pamiętaj, u Paillard'a było słynne Cham-
bertin! Dobranoc!”

Potem, w samotności, długo nie mogłem
przyjść do siebie i pogodzić rzeczywistości
z rzekomą bajką, której fragmenty zawisły
w oparach zadymionego pokoju.

Otwierałem okno. Stary dom spał spokoj-
nie. Cisza. Tu w pokoju żółtawe światło
dogasającej lampy naftowej, a tam, na bul-
warach Paryża potoki światła, mkną po-
jazdy, gwar. Tu ciemna noc zimowa. Śnieg
lekką prószą. Gdzieś we wsi szczeka pies.

W listach do Rodziców wspominałem
o niecodziennym towarzyszu wieczorów
wiejskich. Staralem się opisać postać Fiszera
najdokładniej. W dopisku, umieszczałem
prośbę o przekazanie pewnej kwoty extra
na zakup czerwonego wina, tak potrzebnego
do podtrzymania gawędy.

Szybko minął rok praktyki w Susku. Lo-
sy przerzuciły mnie w inne strony. Rzadko
zaglądałem do Warszawy, gdzie mieszkali
moi Rodzice.

Kiedyś, po przyjeździe do stolicy, wpad-
łem do Ziemiańskiej. Przy jednym ze sto-
lików siedział Fiszera. Po chwili zauważył
mnie. Roześmiał się i zawołał do mnie:
„Witaj embrionie beztroskiego bytu!”
Uściskaliśmy się serdecznie. Broda Fiszera,
jak dawniej, pachniała tytaniem, czernid-
łem i jakimś specjalnym zapachem... może
metafizyka?

Ponieważ dawniej obiecałem Rodzicom, że
przedstawię im słynnego Fiszera, umówili-
my się, że zawiadomie go o dniu obiadu,
na jaki w imieniu ich — zapraszam.

Menu tego obiadu było po myśli Fiszera.
Był też i Chambertin. Na zakończenie,
przy kawie i cygarach, Fiszera zaczął opo-
wiadać, że pisze filozoficzne dzieło do spółki
z Filipem Endelmanem. Na tę wiadomość
lekką zaoponowałem, mówiąc: „Przecież,
Drogi Franciszku, ty w ogóle nie bierzesz
pióra do ręki, więc jak wygląda to pisanie?”
„Właśnie — odparł Fiszera — to wygląda
tak, że ja dyktuję, a Filip pisze. Endelman
to myśliciel, potężny umysł. Przyjdź kiedy
do niego po południu!”

A zwracając się do mojej Matki dodał:
„Gdy Roman się ożeni i będzie miał syna,
oddamy chłopaka na wychowanie Endelma-
nowi — on z niego zrobi MOCARZA!”

Na razie nie miałem zamiaru się żenić,
a gdy w parę dni potem zaszedłem do
mieszkania Endelmana i rozejrzałem się w
ciemnym pokoju, spostrzegłem przy biur-
ku piszącego Endelmana, a w pobliżu, w
toku, beztrosko chrapał mój druh Fiszera.

Popelniałbym zasadniczy błąd, gdybym,
pisząc wspomnienie o Fiszera, nie powtó-
rzył jakiegś autentycznej anegdoty o nim.
Dlatego przytoczę opowiadanie, jakie nie-
dawno usłyszałem od pani Ludwika Morstino-
wej:

„Powróciliśmy do Warszawy po dłuższym
pobytku w Rzymie. Mój mąż, chcąc odświe-
żyć towarzyskie stosunki w stolicy, zaprosił
na wieczerę dawnych przyjaciół. Uprze-
dził mnie, że będzie Fiszera, słynny smakosz
i filozof, wrażliwy na kulinarne atrakcje.
Słyszałam o nim wiele, lecz go nie znałam.
Przy stole siedział przy mnie.

Jako młoda pani domu miałam tremę czy
moje kotlety baranie „Sauce Soubise” bę-
dą miały uznanie. Baranina miała być tym
„plat de résistance”. Gdy ujrzałam, że są-
siad mój zajada z apetytem i popija winem,
jakie przywieźliśmy z Włoch, odetchnęłam
z ulgą i weselo spojrzałam na męża. Ludwik
uśmiechnął się zadowolony, kolacja się
udała!

Mingło parę tygodni. Na wieczorze u
Bojów, w tłumie gości, ujrzałam potężną
postać Fiszera. Podszedł do mnie, przywitał



Franciszek Fiszera w gościnie w majątku Susk Stary. Po prawej stronie brodatego Fiszera — autor wspomnienia Roman Rogowski.

Zdjęcie Fiszera wykonane w roku 1925 na wsi

się, lecz z rozmowy wynioskowałam, że
nie może sobie przypomnieć mojej osoby.
A ja, ulegając kobiecej przekorze, nie śpie-
szylam się z ułatwieniem mu zadania.

Fiszera, rozmawiając ze mną, przyglądał
mi się badawczo, ale urywał zdania i za-
myślał się. W pewnej chwili twarz zajaśnia-
ła mu pogodnym uśmiechem i wskazując
palcem wprost na mnie, wykrzyknął na ca-
ły głos:

„Już wiem! Baranina!”

Zimą 1925 roku byłem znów w Warsza-
wie. Spotkałem się z Fiszera. Dowiedzia-
łem się, że Teatr Polski wystawiać będzie
farsę Z. Kaweckiego „Poczekalnia I-ej kla-
sy”. Postarałem się o bilety i zaprosiłem
Fiszera. Treść tej anegdotycznej komedii
była opartą na plotce, a jako podstawę,
autor sportretował znane osobistości ze sto-
licy

Obsada była doskonała. Z kobiet grały:
Przybylko - Potocka, Modrzewska, a role
męskie mieli: Jerzy Leszczyński, Maszyński,
Warnecki i Zelwerowicz. Ten świetny aktor
grał rolę Fiszera. Nie tylko rysy twarzy by-
ły ludzko podobne, ale i ruchy, głos oraz
szczegóły garderoby. Wydawało się, że na
scenie porusza się prawdziwy Fiszera.

Siedząc obok mego przyjaciela, patrzyłem
to na scenę, to na niego. Nie wiedziałem,
gdzie jest oryginał.

Nie zapomnę Zelwerowicza, gdy wycho-
dził, na scenie, do poczekalni kolejowej w
czarnej pelerynie, w kapeluszu charaktery-
stycznie zsuniętym na czoło i niedbałym ru-
chem, oddawał tragarzowi malutkie, lubiane
pudełeczko!

Śmiał się serdecznie Fiszera ze swego so-
bowtóra, zaśmiewałem się i ja.

Fiszera co chwila łypał ku mnie okiem
i przygadywał:

„A to łajdak mnie podpatrzył!”

Zastanawiam się teraz, że chyba z tych
wspaniałych aktorów i z tych postaci, które
odtworzali, już niewiele osób zostało przy
życiu.

Pustą jest poczekalnia I klasy!
I chyba niewielu żyje widzów, co za-
chowali pamięć o tamtych postaciach.

ROMAN ROGOWSKI

